

45. **FAMA**

MIEDZYNARODOWY KAMPUS ARTYSTYCZNY
THE INTERNATIONAL ARTISTIC CAMPUS
ŚWINOUJŚCIE 17-29 VIII 2015



W TORPEDZIE:

- ehenrich
- szlafrok
- jak nienawidzić ludzi i być spoko



konkurs ofert

przygotowałem świeży wydruk, wkładam wagi do koperty, zaklejam śliną. utwory z nutką ironii nie bawią członków, jurorów w składzie butelek, na przykład trzech dużych marcinków. oni chętnie wysłaliby mnie w kosmos albo wczasy pod gruszą, do poetyckiego gabinetu cieni, bo nie próbuję wyrwać nic z drzewicy, ani poznania. mam suchy prowiant i marsa w kieszeni.

marcinki rzucają teraz słowo ze sceny, dyplomy z ortograficznymi błędami, konfetti z napisem: dla najpiękniejszej. tej, co wzięła różową pomadkę, kondomy i koronkowe majtki do torebki. jestem ich koszmarnym snem wprost z fazy r. e. m. ciągną się za mną treny czyichś sukienek. kochanowski? tak, kocham te zadarte noski, pierwszy stosunek (pracy) w hotelu gołębiowski.

czytelniku, 50 – ciao letnia kurwo w modnej koszulce xxl, włosami na żel, nazywam cię psem. masz, żryj mój postmodernizm. czytaj, goń tandetną błyskotkę języka, chleję. pomyśl tylko, że siedzę nad klawiaturą jakbym grał koncerty. spisuję, jak w regulaminie, jeden zestaw wierszy, piosenkę przełomu z siódmej strony drugiego tomu. jebać wasze bruliony, tak jebać bruliony!

dom pracy twórczej

wiersz wciąga jak melanż. znam to z policyjnych kronik. chłopak zabił za długopis i kawałek papieru. na pewno wiesz o co mi chodzi. o te dni, gdy wychodzisz do sklepu spożywczego

a wracasz nad ranem z rozwianym włosiem, w niekompletnej odzieży. o to uczucie następnego dnia po przebudzeniu, kiedy przyrzekasz sobie: następnym razem nie napiszę ani kropki.

pup-a, czyli wizyta u hansa arpa

i ręce urzędniczek, które leczą. bezrobotnych z zawodowych nawyków i zboczeń. sprawdź to. widuję kilka niezłych ofert: lektura ulotek pigułki dzień po w ramach akcji poczytaj mi mamę, daltonistę/ niewidomego przyjmę (niepotrzebne skreślić) do obsługi sygnalizatora świetlnego.

jakie ma pan doświadczenie? studia, pani wie. chodzę ze słownikiem poprawnej polszczyzny, rozkładówką z katarzyną kobro (taki rodzaj odżywki dla polonistów). i dobrze zapamiętałam: najpierw masa, potem rzeźba. w słowach trudnych, na przykład: poniekąd tak, bynajmniej nie.

za mną rumun. kiwa głową jak piesek pawłowa na tylnej szybie fiata 125p. nie wiem dlaczego przypomina z aparycji hansa arpa, ze swoim wiecznym: da, da! językiem niebieskich ptaków. kroi się grubsza robota. jak myślisz, przyjacielu? wydadzą mi tu książkę z wierszy żebranych?

● Kacper Płusa

Pieskiem

Chodzi o to, żeby się połapać w odpowiednich miejscach i nie wypuszczać, gdy zmienia się kierunki,

gdy stare rzeczy położą w nowy bajzel i zaczną zamykać przetarte (po)szlaki, wyznaczając nowe wrzucają do wody głębokiej i gładkiej.

Topiących się TRZEBA RATOWAĆ i uczyć pływać poprawnie.

Ewy

Godzimy się z tym światem. Godzimy się coraz głębiej, pod żebra, przyszłe/y Ewy, pod drzewo, ze sznurem na prototyp Adama.

Tutaj jest tak żółto przed deszczem

Tutaj jest tak żółto przed deszczem. Iskrzą nasze fryzury, nasze swetry. Wzlatują płótna twarzy w powietrze. Wiatr kradnie nam słowa, szeptem.

● Weronika Bukowska

Ehenrich

Ehenrich nie był człowiekiem szczęśliwym. Nie lubił podróżować, a praca, która obecnie pozwalała mu łączyć koniec z końcem, wymagała od niego nieustannego przemieszczania się. Najchętniej zamknąłby się w swoim pokoju i nie ruszał sprzed maszyny do pisania. „Oddać się literaturze” – jeśli Ehenrich miałby powiedzieć o czym marzy, to z pewnością powiedziałaby: o czasie na spisanie dzieła, które w głowie miał już dawno ułożone. Tymczasem trzeba było jechać na dworzec i odbyć podróż do Pragi, podróż uciążliwą, przez granicę, do obcego kraju, nie mówiąc już o konieczności skorzystania z usług kolei. Podróż pociągiem, to była dla Ehenricha największa możliwa udręka. Zapytany, określał się zazwyczaj marszandem obrazów, chociaż uczciwiej byłoby w jego przypadku określić się komiwojażerem, jeśli nie po prostu – oszustem. Ehenrich pracował dla rodziny Bode. Jego zadanie polegało na wynajdowaniu młodych malarzy, nierokujących na przyszłość, pozbawionych talentu, malujących wtórnie i nieciekawie. Ehenrich obiecywał im świetlaną przyszłość w Berlinie, ale na razie, ma się rozumieć, artysta nie mógł liczyć na znaczący dochód, powinien traktować pierwsze transakcje jako inwestycje we własną markę. Skupywał więc bohemy za bezcen, a potem Bode, młody i niepozbawiony uroku osobistego, a przede wszystkim znajomości, sprzedawał je w tak zwanych dobrych domach Berlina jako dzieła początkujących, utalentowanych artystów, inwestycje, które mogą zwrócić się kiedyś z niewyobrażalną nawiązką. Działalność ta – sprzedaż bezwartościowych obrazów za względnie wygórowane kwoty – była co prawda marginesem działalności domu Bode, ale spełniała niskie oczekiwania materialne młodego Bode’a, człowieka leniwego i pozbawionego zainteresowań oraz, w mniejszym stopniu, Ehenricha. Tym razem Bode nawiązał kontakty w Czechach, dostał obiecującą informację, i Ehenrich musiał jechać do Pragi. Jechał na noc i przed wyjazdem miał zamiar popracować, skończyć opowiadanie, uporządkować notatki. Przez cały rano miał kartkę za kartką. Myślał o pakowaniu, o tym ile należy wziąć koszul, czy trzy pary skarpetek na zapas to wystarczająco. W końcu nie pozostało mu nic innego, jak wyciągnąć walizkę i spakować rzeczy. Oczywiście nie poszło mu szybko i sprawnie, jak zamierzał, ale przynajmniej miał przed sobą całe popołudnie. Zaparzył herbatę i postanowił najpierw przejrzeć notatki. Lecz pojawił się nowy problem. Godzina wyjazdu. Ehenrich za nic nie mógł sobie przypomnieć, o której odchodzi pociąg. To drobiazg, wystarczyło sprawdzić na bilecie. Zły na siebie, po raz kolejny zostawił pracę i poszedł po bilet. Rozejrzał się po całym mieszkaniu, coraz bardziej poirytowany. Ani śladu biletu. Bode wpadł wczoraj do niego z dokumentami i Ehenrich był pewien, że położył bilet pod książką, która leżała na szafce nocnej. Lekko spanikowany, zajrzał za szafkę, pod łóżko. Ani

śladu. Ehenrich uważał się za człowieka racjonalnego. Odetchnął głęboko i sporządził w głowie wykaz miejsc, gdzie bilety mogły się znajdować. Przecież były w pokoju, przecież Bode był tu wczoraj i zostawił bilety na biurku, a on wziął te bilety i, jak zwykle, położył je na szafce, pod książką. Po pół godziny nieliczne meble, jakie znajdowały się w pokoju, były porzesuwane, a zawartość walizki leżała w nieładzie na podłodze. Ehenrich, cały mokry, czuł jak po posładkach, plecach i karku powoli powraca panika.

– Bode – pomyślał i kierując się tą niejasną myślą wybiegł na ulicę. Bode musiał przez pomyłkę zabrać bilet, w rozrządzeniu wziął go z szafki, to pewne, gdy oglądał książkę, pewnie jeszcze się nawet nie zorientował. Na szczęście Bode nie mieszkał daleko, a Ehenrich niejasno pamiętał, że pociąg odchodził o dziewięć minutami, więc spokojnie zdąży odzyskać bilet, wrócić do domu i, jeśli się pospieszy, będzie na dworcu na czas. Ale Bode’a nie było. Co więcej, jak dowiedział się Ehenrich, rano wyjechał do Poczdamu i miał wrócić najwcześniej następnego dnia. Nie pozostało nic innego, jak zostawić mu notkę i wrócić do siebie, na beznadziejne poszukiwania. W pokoju Ehenrich bez przekonania przejrzał rzeczy, które walały się wokół walizki. Chciał zapalić i, szukając papierosów, w wewnętrznej kieszeni marynarki natknął się na złożony arkusz papieru. Ehenrich patrzył na bilet i, choć wiedział, że powinien czuć ulgę, czuł się jak skończony idiota. I jeszcze ta notka, którą Bode zastanie jutro w domu. Ale nie było już czasu, żeby cokolwiek z tym zrobić. Pociąg nie odchodził o dziewięć minutami, jak sądził Ehenrich, ale o siódmej czterdzieści. Szybko powrzucał rzeczy do walizki. Jeśli się pospieszy, powinien być na czas. Ponagłając woźnicę i wpadając na ludzi tłoczących się wokół dworca, Ehenrich wbiegł na peron na kilka minut przed odjazdem. Zdążył znaleźć jeszcze bagażowego i wypalić na peronie papierosa. Wszystko wracało do normy.

Właściwa panika dopadła Ehenricha dopiero w Pradze, kiedy wyszedł przed budynek dworca głównego, rozejrzał się za czymś do jedzenia i zaczął zastanawiać się, gdzie Bode zarezerwował mu hotel. Ehenrich wprawdzie nie zapytał przed wyjazdem, ale adres hotelu musiał znajdować się w zielonym notesie, w którym Bode zapisał wszystkie kontakty do praskich artystów, którymi zainteresować się miał Ehenrich. Problem polegał na tym, że Ehenrich przeszukał swoją walizkę raz, przeszukał drugi, nauczony doświadczeniem pomacał się po kieszeniach, ale zielonego notesu najwzyczajniej nie było. I wtedy, kiedy wyprostował się i spojrzał w kierunku Wełtawy, wszystko do niego dociera. Ehenrich wie, gdzie zapodział się notes. Pamięta jak wczoraj rano wrzucał go na starannie złożone koszule i zamykał walizkę. Pamięta, jak później wybebeszył walizkę w poszukiwaniu biletu, jak pospiesznie wrzucał zmięte ubrania i biegł na dworzec. Notes musiał wciąż tam leżeć, na podłodze, prawdopodobnie pod łóżkiem lub

obok szafki tak, że w pośpiechu go nie zauważył. Początkowo historia powtarza się – Ehenrich wyrzuca sobie niedbalstwo i głupotę. Pyta się, jak to możliwe – zawsze, za każdym razem sprawdza, czy wszystkie dokumenty, notatki i pieniądze są na miejscu. I ten jeden jedyny raz, kiedy tego nie zrobił. Całe dotychczasowe życie Ehenricha, jego charakter, sugerowałoby, że w obliczu problemów podejmie racjonalną, rozsądną decyzję. Wystarczyło kupić powrotny bilet do Berlina za pieniądze, które dostał na podróż od Bode’a lub wysłać telegram z Pragi, zatrzymać się w jakimś tanim hotelu i czekać na instrukcje. Tak się jednak nie dzieje. Ehenrich zostawia walizkę w przechowalni bagażu i spokojnie kieruje się na Žižkov, gdzie je jajka na bekonie, i niczym wczasowicz, przez cały rano pali, od czasu do czasu zamawiając kawę. Potem zagłębia się w Žižkov, przystając w każdej karczmie. Czeskie piwo jest lekkie i Ehenrich prawie nie czuje jego działania. Po południu kieruje się w stronę Starego Miasta, ale nie wie, gdzie, znajduje się w dzielnicy żydowskiej. Jest senny i wchodzi do pierwszej lepszej kawiarni. W środku odbywa się coś na kształt spotkania autorskiego. Szczupły, blade młodziśnięc czyta. Czyta po niemiecku i Ehenrich, po zamówieniu kawy, zaczyna się przysłuchiwać. Wokół pisarza nie ma wielu słuchaczy, może cztery, pięć osób, prawdopodobnie sami znajomi. Ehenrich przez chwilę słucha z uwagą, ale opowiadanie szybko nudzi go, wydaje mu się dziwne i sztuczne. Dużo bardziej zwraca uwagę chorowity wygląd czytającego, jego nerwowe ruchy. Na moment unosi wzrok i rzuca szybkie spojrzenie na salę. Ehenrichowi wydaje się, że to wzrok skazańca, ale skazańca, który gardzi instytucjami, które zdecydowały o jego losie lub który, zmęczony jakąś chorobą, jest już ponad więzienie, wyrok, śmierć. Od spojrzenia do spojrzenia, Ehenrich dosiada się do zebranych i nawiązuje rozmowę. Rozmowa przeciąga się do późna w nocy. Jeden z zebranych, Max, dysponuje dużym domem, w którym Ehenrich może się zatrzymać. Mija tydzień, później drugi. Ehenrich mieszka u Maxa i wydaje pieniądze Bode’a na codzienne libacje. Uczestniczy w rozmowach o sztuce i literaturze. Wyraża żal, że nie ma przy sobie tekstów, które mógłby przeczytać. „To pan również pisze, Ehenrich?” Możliwość wygłaszania autorytatywnych sądów, opowieści o pracy pozostawionej w Berlinie, a jednocześnie fakt, że nikt nie może wywołać go do tablicy, że po prostu nie ma co przeczytać, sprawia, że Ehenrich zaczyna rosnąć, czuje się pisarzem, i to pisarzem z Berlina. Ogólnie rzecz biorąc, Ehenrich ma się świetnie, pieniądze znikają powoli, żyje w dużej mierze na koszt swojego gospodarza. Próbuje opium i dziwnych ziół, przywożonych podobno z Karkonoszy. Poznaje kolejne praskie osobistości. Zaczyna czuć się częścią artystycznej bohemy. Podczas jednego z posiedzeń poznaje młodego malarza, Adolfa, który wprawdzie jest Austriakiem, ale od kilku miesięcy mieszka w Pradze. Jego sposób bycia, natręstwa, wiecznie tłuste włosy, czynią na

Ehenrichu wysoce niekorzystne wrażenie. Gdy malarz dowiaduje się, że Ehenrich jest Niemcem i niebawem wraca do Berlina, zaczyna mu się narzucać. Z grzeczności Ehenrich pyta o jego prace i o to, co skłoniło go do przyjazdu do Pragi, ale wyjaśnienia Adolfa są mętne i nerwowe. Upiera się, żeby pokazać mu swoje pejzaże i w końcu Ehenrich daje się zaciągnąć do jego ciemnego pokoju. Wyraża pochlebną, choć zachowawczą opinię, lecz Adolf wydaje się upojony. W rzeczywistości Ehenrich wie, że znalazł dostawcę, który idealnie wpisuje się w wymagania Bode'a – przeciętnego, miernego, zadufanego w sobie amatora. Oferuje Adolfowi kupno kilku obrazów, oczywiście za niezbyt wygórowaną cenę. Niestety, nie dysponuje gotówką. Proponuje wziąć obrazy w komis i przestać pieniądze do Pragi po ewentualnej sprzedaży. Ale Adolf odmawia, potrzebuje gotówki. Resztę nocy spędzają w jego pokoju, rozmawiając, choć raczej to młody Austriak mówi, wpada w trans, mówi o germańskiej mitologii i germańskiej przyszłości, o rasie panów i mieszaninach, Ehenrichowi wydaje się to na najwyżej zwulgaryzowanym plagiatem z Nietzschego, i jego złe wrażenie pogłębia się. Ehenrich nie interesuje się polityką, ale uważa się za wolnomysliciela, za

człowieka wolności i właśnie atmosfera swobody jest tym, co zachwyca go w życiu praskiej bohemy. Autorytarne sądy, chore uniesienie, wreszcie plugawa, zwyczajnie błędna filozofia dziejów wzbudzają jego niesmak i nie dobiwszy targu, postanawia nie zawracać sobie głowy młodym furiatem. Niedługo później kończą mu się pieniądze i jest zmuszony wrócić do Berlina. Przyjaciele, głównie Max, zrzucają się na bilet powrotny. Wszystko się powtarza, nerwy i niepokój, ale tym razem wszystko idzie pomyślnie i bez pośpiechu. Na peronie formuje się nawet mały komitet pożegnalny. Czekając na odjazd pociągu palą, rozmawiają, ale Ehenrich nie słucha, nie może się skupić, chciałby usiąść już na swoim miejscu i odjechać (co rusz pyta przechodzących konduktorów, czy to rzeczywiście do Berlina, wtedy rozmowa urywa się). Kiedy stoi już na stopniach, na peron wpada Adolf. Przed samym odjazdem podaje Ehenrichowi jeden ze swoich obrazów, mówi coś o umowie i o komisie. Ehenrich jest roztargniony, ale nagabywany przez Adolfa, szuka w marynarce kart wizytowych Bode'a i podaje jedną z nich malarzowi. Pociąg odjeżdża. W Berlinie, co zrozumiałe, Bode zrywa z Ehenrichem. Ten przez kilka lat ima się różnych dorywczych zajęć. Nie przestaje

pisać. Adolf próbuje nawiązać kontakt z Bodem, ale bez skutku. Wizytówka, którą podał mu Ehenrich z odjeżdżającego pociągu, okazuje się wizytówką berlińskiego szewca. Młody malarz nie bierze pod uwagę pomyłki, czuje się oszukany. Klęska, jaką ponosi przed komisją egzaminacyjną wiedeńskiej Akademii Sztuk Pięknych kilka miesięcy później, jest kroplą, która przepętnia czarę goryczy. Zrywa z malarstwem. Ehenrichowi udaje się opublikować kilka recenzji w pomniejszych pismach literackich. Stopniowo pogrąża się w beznadziei i ma zwyczaj użalać się nad swoim losem w towarzystwie nielicznych przyjaciół. Jego sytuacja ulega jednak radykalnej zmianie w nowych okolicznościach politycznych. Wiedziony instynktem oportunisty Ehenrich zapisuje się do partii i dostaje pracę w redakcji jednego z ważniejszych pism kulturalnych Berlina. Ginie w niejasnych okolicznościach, podczas pierwszej dużej czystki w partii.

● Olek Trojanowski

Jak nienawidzić ludzi i być spoko

Olo mówi, że chce napisać poradnik "Jak nienawidzić ludzi i być spoko". Myślę, że to będzie bestseller, w końcu nie od parady ma dziadka z tatuażem SS oraz babkę, lustrującą osiedle z parapetu na najwyższym piętrze. A kiedy mówi mi to, leżymy tak na wersalce i tulimy się sobie do swetrów, a dookoła unoszą się chmury dymu, tyle papierosów palimy i tak bardzo nie ma tu wiatru.

Olo się nagle podrywa i mówi, że życie to nie jest bajka, a gastroskop to nie żelki typu glista, ale on musi się czymś zasłużyć, on musi sobie zrobić ten pomnik: ze spiżu, pleksi albo rośliny takiej jak rabarbar. Nie wiem, po co mu ten pomnik, ale Olo mówi, że będzie to strzała wymierzona w czoło ojca. Żeby ojciec zobaczył, że on wyrósł na ludzi i żeby nie mówił do niego więcej "gnój", bo tak się nie powinno mówić do dzieci, nawet jak są z próbówki albo z okna życia.

Ja nie wiedziałam, że Olo ma taki problem, to jest problem zjebanego dzieciństwa, ale może to być spowodowane brakiem rozmów między nami. Olo mówi, że cały ten nasz związek to brak, że z braku czasu spotykamy się w jego braku mieszkania, a z braku mojej ochoty nie dzieje się między nami nic bardziej sensownego niż seks. I on mówi, że to nie jest miłość, o jaką modlił się do małego Jezuska i że cała literatura powinna być o miłości, a nie o łuskaniu fasoli.

Ja się wkurwiam, bo co mu odejbało teraz z tą fasolą, zaraz przejdzie do rozmów o koktajlach z jarmużu i szkodliwym wpływie GMO. I to jest powód, dla którego współkochać tu przyszłam, a nie współrozmawiać. Wstałabym i wyszła, ale Olo mówi, że czekaj. Mówi, że ma nowe wiersze, że on je tu, ze mną, na tej wersalce, na kocu w kratę i przy kompie z przejrzałych czereśni. Godzę się, bo to jest to, co mnie w nim właśnie urzekło, że Olo jest poetą i pali, a to ociepla mi jego wizerunek

i kruszy w sercu tynki ze ścian. I jak powiedział, że wcale nie trzeba gasić światła, żeby w Polsce zrobiło się ciemno, to ja wiedziałam, że z niego będzie wieszcz.

Tymczasem Olo podchodzi do biurka, szpera w szufladzie i przynosi mi kartki. Jara się, bo to są właśnie poezje, on bierze te poezje z Google'a, bo uważa, że na początku było słowo, a słowo było u Google'a, i z Google'a było słowo. Trudno z nim wchodzić w dyskusję, pojęcie o poezji mam żadne, bo ja znam się tylko na tym, o czym powiedzą mi czasem znajomi. Olo mówi, że jestem jak planeta, bo świecę światłem odbitym, albo jak lusterko, w którym on nie chce się często przeglądać, bo to jest tak, że on kiedyś był ładny, a potem utył, spuchł i posiwiał.

Olo mówi, że to nie jest tak, że z Sodomy do Gomory jedzie się tramwajem i wcale nie trzeba Bóg wie czego, żeby być poetą, bo poezja to zabieg raczej prosty i uprawiać go może każdy, choć praktycznie to nikt, a co najwyżej on.

No więc ta poezja polega na tym, że robisz sobie kawę i siadasz do biurka. Ważne, aby cię nic nie rozpraszało, jak na przykład wchodząca do pokoju matka albo latający cyrk Monty Pythona. I wtedy wymyślasz frazę, to jest słowo, dajmy na to, duch. Dobrze, kiedy słowo jest trochę określone, ma obok inne słowo, który stoi przed nim albo stoi za nim, wpisujesz to w wyszukiwarkę i patrzysz, co przyniesie los. Tak Olo stworzył wiersz, który nosi tytuł *mój duch* i cytuję mi go, zanosząc się fajką:

mój duch przyjazny

mój duch łańcuchem skuty do ziemi

mój duch woła dziś

duch mój na rozżarzone węgle dupą usiadł

I tutaj trochę się śmieję, a Olo jest szczęśliwy, bo udało mu się osiągnąć efekt humorystyczny, to jest taki, że ja się śmieję, kiedy on chce. Olo mówi, że to ważne, bo czasy są niewesołe, a on chciałby rozpalać ludzkie serca, a nie na przykład bezdomnych. To nie jest przecież łatwe, być dzisiaj bezdomnym, bo Polska piętnuje bezdomnych, nie mieszczą się

w narodowym kadrze, robią tłok na przystankach i pachną inaczej niż markowe perfumy, pachną też inaczej niż perfumy-podróbki, sprzedawane na ulicy przez kobiety w szpilkach oraz dzieci typu Rom.

Dlatego bezdomnych się ciągle przemieszcza, bo burzą urok tęczy i PR kraju nad Wisłą, a także dlatego, że młodzież trenuje na nich wykopy, wypady, wymioty. I podobno krąży po świecie petycja o dodanie konkurencji do igrzysk olimpijskich, bo może wtedy Polska w eliminacjach poszłaby krok dalej, a jeśli nie byłaby mistrzem świata czy Europy, to mistrzem Polski na pewno.

Olo sam mówi i sam się rozczula, wstaje, idzie do kuchni, wraca, a w rękach ma szklanki, w których kiedyś była Nutella. Kładzie je teraz między nami i polewa, na co ja żartuję, że kto ośmieliłby się nalać damie wódki, na co on, że wypijmy za te damy, może jeszcze przyjdą.

Trchę się smucę, a trochę to ignoruję, bo obraziłabym się, ale wolę pić. Człowiek lubi pić, nawet jak ma swój honor lub kredyt w banku PKO. Ale łatwo nie jest, bo wdaje się między nas pewna niezręczność, to znaczy sytuacja taka, jakby położyć między nas na przykład policjanta. Olo mówi, że kochał kiedyś kogoś i bynajmniej nie byłam to ja.

Ale taka to była historia, chujowa miłość w chujowych dekoracjach nie było bukietu kwiatów ani kawy na stacji Statoil, bo działa się to w małym malowniczym dzielnicy, a mianowicie: na nierównym chodniku, a obok zaraz był śmietnik. Duży, szarawy, ale to było dawno, więc nie, że segregacja odpadów, elegancja-Francja, kamień, papier, nożyczki. Stał zwykły metalowy śmietnik, stał on i stała ona, a naprzeciwko stał jego dom i gdyby się uparł, rzuciłby w niego kamieniem. Ja sobie teraz wyobrażam ten kamień i to okno, kuchnia to zresztą jedyne, gdzie teraz pali się światło. Najpewniej jest w niej matka, bo to polski dom, niedziela wieczór, więc kto. I Olo bierze ten kamień, ciska nim w szybę, kamień ląduje na patelni, matka w krzyk, olej na ściany, mielony na linoleum w kolorze zwędzonego bzu.

Pech chce, że mówię to na głos, a Olo się wkurwia, bo jego rodzina jest przecież wegańska, może nie z dziada pradziada, ale od ojca i matki już tak, w związku z czym mielony nie mógł mieć tam miejsca. Ale pisać o mielonym raczej niepodobna, to jak pić ciepłą wódkę albo kochać brzydkie dziewczęta. Olo tym gardzi i wyczulony ma na to węch, więc układa mi wiersz o miłości, a tytuł jest, że nie kocham Cię wcale.

tak powiedziała

tak po prostu

tak pośrodku

między daj bucha, a żyj dla mnie

Olo się teraz rozkleja, mówi, że po tym rozstaniu nie wierzy już w Boga, że jeśli kiedykolwiek był, to dostał kataru, rzeźączki albo zapalenia opon mózgowych i wykazuje niechęć względem jego osoby, bo tak go zaniebdał i całkiem o nim zapomniał, a przecież on nigdy go o nic nie prosił, więc jak już poprosił o tamtą dziewczynę, to dlaczego od razu musiało być z nią coś nie tak i czy to nie mógł być łatwiejszy do obejścia defekt, jak mąż, szósty palec albo chociaż HIV. A nie, że ona go nie kocha i chuj.

I że dlaczego pytam go teraz o nią, że dla niego to jednak jest rana, a to, co robię, to jest posypywanie jej solą i on sobie tego nie życzy, bo każdy wie, że sól to biała śmierć. Wydaje mi się, że cukier, ale on, że ma na to wyjebane i chce czytać kolejny wiersz, a że łapie za szklankę, to myślę, że chodzi znów o alkohol, ale Olo nie chce wracać do motywu poety, już raz go przecież wywołał i on zapewnił, że w jego domu nie ma problemu z alkoholem, albowiem on pija na mieście.

Alkohol to jednak słowo-klucz, jak korkociąg otwiera skojarzenia w mojej głowie i myślę, że bohater może być księdzem i ten ksiądz ma nieślubne dziecko i wypija wino mszalne podczas nabożeństw majowych, na które nikt już inny nie chodzi, jak tylko niekochane dziewczęta i staruszki w błękitnej płukance na styranym wiatrem czasie włosów.

Olo w związku z tym prychnął, bo nie lubi zaglądania ludziom pod łóżko, od tego są panie sprzątaczkę i reporterzy z ekipy TVN. Pomysły już mi się

kończą, noc jednak jest ciemna, nastrój się robi grobowy, mówię, że jak nie wódka, to krew. Krew można wypijać, krew jest ciepła i lepka i jak nic nadaje się, by zrobić z niej swojską kaszankę. Olo wkurwia się, bo ile razy ma mi powtarzać, że nie jada mięsa i brzydzi się mną, kiedy mówię słowo kaszanka. I że on robi w literaturze, a w literaturze postać wampira mocno się już wytarła i o jakiej krwi ja mu mówię, skoro zgodnie z najnowszym nurtem wampirzy skrzą się brokatem. To ja mówię, że odpuść, na co Olo nie wytrzymuje i rzuca:

wypiję za twoje zdrowie

wypiję wino ze swoją dziewczyną

wypiję jego mózg jak koktajl i zagryzę nosem

Zawieszam się tutaj mocno, nie wiem czy to wina wódki czy tego wiersza, o jakości którego nie jestem jednak przekonana, i coś mnie łaskocze w żołądku i obawiam się, że skończyć się to może moją z głową w kiblu wizytą i nieco się boję, bo włosy mam krótkie, więc niełatwo mnie będzie z niego za nie wyciągać, ale Olo mówi: nie lękaj się. Wobec czego ja się nie lękam i przywołuję to nastrój biblijny i on ma na to wiersz, który na myśl przywołuje mu akt, jak on to ujął, stworzenia.

weź średniej wielkości kawałek plasteliny

weź ściętego zdechłego tchórza

weź światło

weź ścisnij

I jak się Olo nie poderwie, jak nie wyszpera z kieszeni biletów, jak nie krzyknie, że dawaj, jedźmy teraz nad Wisłę. Chcę zaprotestować, powołać się na klauzulę sumienia albo przepis na sałatkę z roszponki, ale on dzierży w dłoni te bilety, jakby znalazł mapę do Ziemi Świętej. Odpada więc dylemat kawa czy herbata, rarytas to butelka i nalana na drogę kranówka. Wsiadamy do tramwaju, w tramwaju ludzie, patrzysz i myślisz: pochwała brzydoty, a w codziennym menu chleb żytni, kiełbasa żywiecka i kawa typu Inka. I nawet ja, oskarżana przez Olo o brak ludzkich odruchów, na ich widok odruch mam teraz wymiotny.

Mimo to patrzę, mój wzrok przyciąga ona. Nie wiem, jak ma na imię, więc mówię na nią kolorowy ptak, choć Olo rzuca, że raczej kurwa z dworca PKS. Tymczasem ona mówi o sukniach ślubnych, że panny młode są głupie i nikt nie wmówi im, że białe jest białe, bo panna młoda jest jak Eskimos i zna wiele odcieni bieli i mądrzy się, jakby zrobiła z niej na doktorat na uniwersytecie Viadrina. Jakby życie milionów ludzi na świecie zależało od tego, czy wybierze biel absolutną, śnieżną, srebrną czy ciepłą, czy tę ecru czy cappuccino, a może szampa lub spienionego mleka, albo skorupki jajka lub blasku nadpalonej, gromnicznej świecy.

No ciężko się, kurwa, zdecydować – kwituje, przewracając oczami. A ładnie nimi przewraca, bo ma barwione soczewki i rzęsy przedłużane metodą jeden do jeden. Jej koleżanka też wzdycha, że branża to jednak niewdzięczna, a klienci jednorazowi, jak reklamówka marki Biedronka, bo wszyscy przyjdą, pójda, nie wrócą. Ale ona źle im nie życzy, sama boi się rozstań, samotności i samochodów z rejestracją na Ka.

Patrzę, co na to Olo, ale Olo ma minę w stylu: mamo, a Krystian Lupa powiedział. Jego mózg musiał już wchłoniąć te informacje, przetrawić je i wypluć, ale nie, że spokojna przemiana materii, raczej fabryka przetwórstwa rybnego lub zakład produkcji zapalek, jak mają Czechowice albo chociaż Koszalin. I dawaj, Olo nagle w płacz.

Ja robię wtedy to, co zrobić najłatwiej, to jest: po chamsku stamtąd wysiadam. Mówię, że nie układa nam się wcale i że daleko nam jednak do siebie, na co on, że nie ma nic przeciwko związkom na odległość, i że on nie wie, co robi beze mnie, na co ja, że niech zapyta w takim razie Google'a. Może to kwestia kultury, wychowania, lekcji PO lub religii z rudą katecheta, ale czuję, że jeśli wysiądę, to z nieba polecą konfetti. Tym bardziej robi mi się smutno, kiedy tramwaj staje, ja wysiadam, a w twarz napierdala mi deszcz.

nie warto jeść kanapek w miejscach publicznych

dochodzi popołudnie
mijaszywozy
niezgrabnie zaparkowane
biała karoseria/szare powietrze
przypadkowo eleganckie
dłonie spotniały
to nie na miejscu
wcierasz we wnętrze koszuli
kominy cementowni
dopiero zauważasz
na tle pękniętego poranka
męczyzna je bułkę
gwałtowny nerwowy odruch
zapija wódką ten moment
pomiedzy rauszem a kacem
śmiało
już za chwilę przejdzie w ciąg
ta sama droga/przeciwna strona
zęby pokryte sadzą
kobieta i posiniaczone dziecko
i wiesz że ona wyrwie mu bułkę
robotnik zdziwiony
oni już w lesie
wkładają sobie do ust sens istnienia
brak tchu
jak dobrze być w domu

memento

obudziłam się z utratą pamięci

nie pamiętam blue velvet zupełnie
i zapomniałam o kobiecie - koniu
na jarmarku. Podobno wcale
nie wyglądała jak koń.
nie pamiętam też życzeń urodzinowych
od osób których zupełnie nie pamiętam
nie pamiętam imprezy pt.
„przyjdź jak stoisz”. Akurat leżałam.
Zapomniałam. Regres hipokampu.
i co teraz z białymi gumowymi
zatyczkami na łańcuszku do umywalek
co z tym nauczycielem co używał
słowa queer w znaczeniu dziwny
zawsze chichocząc
co z myślnikami w miejscach
wulgarnych słów
w powieściach dla dorosłych
jak nie nie pamiętać
a ty tak głupio pytasz jakie to słowa

sen różewicza

tyle nocy tyle nocy
w brzuchu wieloryba

i znów pobudka
metalowy kwadrat piski
tym razem to brzuch architekta
obliczamy i mierzymy
wysnuwamy teorie
dywagujemy o kątach nachylenia
rozpatrujemy moralne pochylenia
trzymając się prawdy ty to robisz
ja wydłubuję brud z paznokci
czy zdążę zapalić papierosa?
nie mam nic do powiedzenia
nie mam nic do określenia
przepraszam nawet nie jest mi przykro

lubię wybudzać się z lepkich snów
nie wiesz czy czerwone
powypalane zaślony
bo jesteś u ekscentrycznej sąsiadki
z trzeciego piętra
czy to ona jest u ciebie
nagrywa się na taśmę
dla utrwalenia wrażeń i włosów ściętych na pazia
coś zakłóciło ten moment
szybkich ruchów gałek
zdzieramy plusz ze ścian
idziemy dalej
deprywacja snu REM u szczurów
może doprowadzić do śmierci
w ciągu kilku tygodni

pytanie czyjej śmierci
jest nie na miejscu

już nie wybudzisz się żywy

● Karolina Szczypek

Szlafrok

Tak naprawdę to ona miała by w nosie tę farbę na szlafroku, ale jej chłopak mówi, że to nieestetyczne. W podstawówce zawsze miała buzię umazaną czekoladą i „nieład na stanowisku pracy”, jak napisała na świadectwie wychowawczyni. A ona chciałaby być estetyczna. Mieć ład na stanowisku pracy, albo chociaż stanowisko pracy. Nie obgryzać paznokci, zawsze znajdować telefon w torbie, rano wstawać z gładką nogą. No i nigdy nie brudzić szlafroka.

Do perfekcji za to opanowaną miała sztukę zneruchomienia. Oko jej nawet nie drgnęło, kiedy na pytanie „co tam?” zapewniała, że dobrze. Zastygała na dźwięk dzwonka do drzwi, udając, że nikogo nie ma. Nauczyła się, nie wstając z łóżka, przysuwać sobie stopą kubek z zimną herbatą. Zakupy też robiła na leżąc, poruszając jedynie kursorem po stronie sklepu.

Więc leżała, niestrudzenie nieruchoma. Tak pięknie, że mogliby jej za to płacić, pomyślała.

I za parę dni, zdjąwszy przepoconą piżamę, leżała już nie w łóżku, a w szkole rysunku.

– Poprzednia modelka zepsuła farelkę – powiedział ją asystent profesora, wręczając zmęczone urządzenie.

– Nie działa drugi bieg.

Musiła wybierać pomiędzy biegiem pierwszym: dmuchawą zimną, ale ciągłą, a trzecim: ciepłą, ale z przerwami. Ustawiła jedynkę. Trójkę dyskwalifikowała cisza, która zapadała, kiedy urządzenie studziło swój silnik. Chłód miała oswojony.

Studenci codziennie bawili się jej ciałem. Ołówkami koślawili nogi, wydłużali szyję. Ten ujął masy biodrom, tamten dodał ramionom. Jeszcze inny przeprowadził zabieg depilacji.

– Ej, a czemu ja tu nie mam włosów na cipce? – udała zaniepokojenie, wskazując na jedną ze sztalug. Za parę minut kończyła przerwę, teraz jednak spacerowała po pracowni, wstydliwie przesłonięta szlafrokiem. Jeszcze nie wiedziała, że chwilę wcześniej przycupnęła na palecie wilgotnej od farb olejnych. Uświadomi ją dopiero jej chłopak-esteta.

– A chcesz mieć? – zadziwił się młody autor, jakby upominał się co o najmniej o brakujący szósty palec u stopy.

– No, nie miałabym, gdybym nie chciała, nie? – odpowiedziała, albo tylko pomyślała, kiwając pokornie głową. Głową, którą inna bezlitosna artystka odrabiała jej na papierze obok.

Każdego dnia czekała na koniec zajęć. Wcale nie po to, by w końcu rozruszać zdrętwiałe ciało. Gdy studenci pośpiesznie pakowali piórniki, upychali węgiel rysunkowy w pudełko, w biegu przebierali przybrudzone koszuły i wypadali z pracowni, ona zastygała za parawanem i nastuchiwała. Zwlekała z ubraniem skarpet. Przewracała je z prawej strony na lewą, z lewej znów na prawą i od nowa, parę razy. Ostatni student, zawsze ten sam, krzątał się jeszcze po sali. „To cześć, na razie, do jutra”, żegnał parawan, za którym ona powoli podciągała majtki. „Cześć”, odpowiadała z wnętrza wkładanej przez głowę bluzki. Gdyby nosiła stanik, pewnie wciął by go jeszcze zapinała. Jednak czerwone pręgi, odcisnięte przez ramiączka, nie komponowały się z żółcieniem

jej cery. Tak zawyrokował profesor. Uświadomił jej także, że dla artysty nie istnieje kolor żółty, a właśnie różne odcienie żółcieni.

Kiedy ostatni raz trzasnęły drzwi, gasiła światło.

W półmroku, bezszelestnie, snuła się pomiędzy rysunkami. Jak w gabinecie krzywych zwierciadeł wpatrywała się w karłowate stópki, posępną minę, groteskowo wydłużone przedramiona. Czasem wyciągała dłoń, trochę speszona gładziła brzuch postaci z rysunku, a węgiel zostawiał na palcach ciemny ślad. I kiedy tak stała, otoczona wizerunkami, w których zupełnie nie potrafiła rozpoznać siebie samej, to było dokładnie tak, jakby patrzyła w lustro. Stała jeszcze chwilę, obserwowała nieruchome kobiety – a może to one obserwowały ją – i zamykała je na noc. Klucz oddawała portierowi.

Ktoś w internecie zapytał, czym zmyć farbę olejną z ubrania. Ktoś inny odpowiedział, że benzyną ratyfikowaną. Na to jeszcze inny ktoś, że ratyfikowana to może być umowa międzynarodowa, a rektyfikowany co najwyżej spirytus, a tak w ogóle to farbę olejną się zmywa benzyną ekstrakcyjną. Bardzo ją to rozbawiło. Benzynę kupiła następnego dnia przed pracą, w sklepie dla plastików. W ciemnej i pustej pracowni wylała parę kropel na brudny szlafrok. Potem skropiła parapet, kapryśną farelkę i przesunęła się ku sztalugom. Oblała zastygłe twarze, nieoddychające piersi, naprężone w bezruchu uda. Stała w progu. Płomienie miały kolor żółcieni.

● Zuzanna Buchowska

Tramwaj z Ło.

Do Łostowic dostać się można było tylko jedną drogą, znakowaną gromadami wróbli przysiadających w linii, około 5 metrów nad poziomem gruntu, które raz na 180 minut zmuszone były do ucieczki w powietrze, przed zamykającym obwód łącznikiem, umożliwiającym przepływ prądu między trakcją a podłożem oraz transport osób pracujących z tej okolicy do miasta. Linia tramwajowa, której nazwę ułożono z dwóch liter, witających podróżnych, wypatrujących celu swojej drogi, jako pierwsze, cieszyła się nieustającym powodzeniem, o apogeum przypadającym w poniedziałkowe poranki i robocze przedwieczory. Jedynie w promieniu niedzielnego południa jej profil prezentował się na tyle blado, że zdeprymowana i zepchnięta poza margines rozkładu jazdy, nie mogąc znieść swojej drugoplanowości, nie przyjeżdżała wcale.

Dzień obywatela Łostowic oscylował niezmienne w rytm stukotu przesuwających się

po szynach kół, którego natężenie jasno i precyzyjnie wyznaczało ramy okresowe i jakościowe dla każdej pory. Zegarków nie noszono. Z tej samej formy odlano przestrzeń i czas, wsiadające bez przepychanek, lecz ze zdecydowaniem w ruchach, do tramwaju. Tupot dziesiątek nówek, wydeptujących drogę kół, lewitujących nówek, nadeptywanych w każdej trzydziestej części minuty, monotonne ała-ała oskarżające każde 20 metrów, które po nich przejechało, wysyłane jako ostrzeżenie, powtarzane jako mantra, docierało po stałowej drodze do każdej pary uszu: Czu-czu czu-czu czu-czu. Pierwsze dźwięki rozpoczętej defilady poganiały zaspanych maruderów, trąbiły na musztrę, potykały się o szlafrok sąsiada – Proszę wsiadać! Podmiot siada i toczy się, jak następuje: O poranku widziało się go w pośpiechu, z przemytymi rześką bryzą szybami, przelatujący ze stacji na stację, zatrzymując się tylko tam, skąd blisko mu było do pracy, w ferworze emocjonalnych oczekiwań, w życzliwości chaotycznych powitań, rozpoczynając swój dzień. Wieczorem ciężko sunął, przeładowany zmęczoną tęsknotą, metalowy

wagon opadał tak nisko, że niemal słyszano już jak szura brzuchem po torach (- Zaczepi! No mówię Panu, że teraz to zaczepi!, jak nic!) powoli, pod balastem dzisiejszych doświadczeń, doczołgiwał się do przystanku.

O tym, co działo się w Ło. pomiędzy tymi odjazdami (jak wiemy, w ciągu dnia, w mieście usłyszano stukot jeszcze 2 razy: w 3 i 6 godzin po pojawieniu się linii porankowej), postaram się teraz opowiedzieć, choć dosyć pobieżnie, gdyż nie są to rzeczy najważniejsze w tej historii i istnieje zagrożenie, że rozlewając tusz nad nimi, straciłabym tę niewielką ilość czasu, jaka mi pozostała, nie docierając do sedna sprawy, jaką muszę tu zapieczętować.

Czy muszę? Być może ktoś zareaguje, być może ja sama przypomnę... Bzdura!! Nie może, nie może być tu nic, ani jedna myśl, ani żadna dowolność, nie ja - ja nie mogę być ani chwili dłużej, dlatego wybaczenie mi ten pośpiech, chaotyczność walczących o przetrwanie słów, falujących w wydychanym z ust powietrzu zaburzeń - dźwięków przeciągających, przedłużających swój ton. Sami wiecie jak to jest, kakofonia, pierwszy koncert adeptów, kończący semestr

nauki w pierwszorzędnej muzycznej szkole, każdy siebie chce w najlepszym świetle, w popisowym numerze, bez współpracy jeszcze, bo tam mama siedzi na sali, starszy brat i ojciec brawo bije. A tu tylko 20 minut!

– 20 minut kochana, a ty jeszcze nie uczesana! – Chude łapska wyciągają szpony w moją stronę. Nad nimi podąża czerwono żarzący się zwitek, znikający co rusz w kopącym i śmierdzącym dymie. Para buch! Pociąg w ruch! Oto i Ciotka okazuje się posuwać za korowodem.

Odskakuję w bok, unikając konfrontacji.

Nie zwiedzie mnie ta uczynność! To właśnie te powykrywane, zasuszone, stare dłonie, przebarwione przez tysiące ulepionych nimi ciasteczek, pomogły zepchnąć mnie w to bagno! Spierzchnięte, opadnięte usta, otworzyły się w akcie rdzewiejącej desperacji, gdy jakby na usprawiedliwienie, ogłosiły mój wyrok. I chełpiły się nim wciąż, o proszę:

– A może kanapkę na drogę Ci zrobić?

Nie daję za wygraną, wiedźma! Widać jak ją nosi we własnym towarzystwie! Odkąd została na nie skazana w swoje 67. urodziny, nie wie co z tą sobą zrobić. Łazi to tu, to tam, zakupki porobi, futrynę pozamiata, marchewczek nasadzi i tylko jak nikt nie widzi, to na co drugą grządkę splunie siarczyście i obejrzy się na wschód, za nadjeżdżającym porankiem, w którym zwolnione przez nią miejsce nie musiało czekać na nowego pasażera ani krótkiej chwili. Postarałaś się o to, moja Ciociu!

– Wujcio Franula za chwilę tu będzie. Zobowiązań się odprowadzić Cię na miejsce. Buciki wypastuj sobie.

Więc i o eskortę zadbano! Jakbym miała dokąd uciekać!

Właściwie, mam pewien pomysł, ale to jeszcze nic pewnego... Przechodzi dopiero etap odczucia, podszczypuje pod myślami, grzęźnie w wielowymiarowym kisieli lepkiego „mogłabym”, wyładowuje w atmosferze emocji. Teraz sędzę, że to z jego powodu piszę. Chciałabym, żebyście go podchwycili, rozwinęli jeśli ja już, no wiecie... nie będę w stanie.

– Proszę wchodzić, otwarte! – Domofon odebrała Ciotka, choć ten dzwonek zadzwonił nie komu innemu, jak tylko mnie.

Na schodach kaszel, strzykanie stawów i ogromne, jak z pancernej szkła, pochwytujące światło binokle, miotają przed siebie kolorowe zajaczki. Staralam się przemknąć bokiem, ale jeden z nich przykładał i zatrzymał się na moim ramieniu. Para denek od butelek ukazała mi się skierowana w moją stronę. Usiłując ignorować dotyk tego spojrzenia, mrowiący nieznośnie w okolicach karku, prześlizgnąwszy się już, jak gdyby nigdy nic, w pobliże wyjścia z klatki schodowej, usłyszałam nieco stłumione, choć wciąż z bliska doganiające: „Ho, ho! Ktoś tu chyba boi się spóźnić!” i nabierając tempa, na jednym wdechu, wyskoczyłam z bramy, po czym przebiegłam przez dwie lub trzy osiedlowe uliczki, przypadkiem napataczające się rozpędzonym stopom. Dopiero w szumiącym cieniu jakiegoś krzewu, którego wiosenne metamorfozy, cuchnące i rozwiewające się po

sporym obszarze, okazały się sprzyjać kamuflażowi, odważyłam się podnieść głowę: (w prawo, w lewo, znowu w prawo), tak zielone mogły być liście tylko w Parku Pustelnikowa.

Do tętnic musiał dotrzeć już tlen z powietrza przesiąkniętego zapachem tego miejsca, gdyż odurzona nim serce zmniejszało ciśnienie i uspokajało rozszalałe mięśnie, kurczące się teraz umiarkowanie wolniej. Pierś nie mogła, z resztą, nie uznać swojego impertynckiego kołatania za niestosowne, znalazłszy się w kwadracie ogrodzonego trawnikiem, dziewczęcego spokoju, niezdobytego do tej pory przez nikogo i tylko w niektóre soboty podszczypywanego prostackim rżeniem ogrodowej kosiarki i fałszywym gwizdem obsługującego ją ogrodnika, który ubrudziwszy swój niebieski kombinezon wystrzeliwującymi z urządzenia szczątkami roślin i zebrawszy ukryte pod nimi fanty, o chodź! nie wyrządzając mu krzywdy. Także dziś, merdające kupki wypiętych na brzegu kaczek stanowiły jedyne źródło ruchu w tym obszarze, o wietrze nie było słyhać, a na powierzchni stawu malował się ten sam, pojawiający się w nim słonecznymi popołudniami, chmurnooki portret.

Proszę mnie dobrze zrozumieć, nie mam złudzeń, co do tego, czy moi oprawcy odnajdą tę kryjówkę na czas, ich przewaga liczebna jest druzgocąca – bynajmniej, nie gram tu w żadną grę typu survival – na chwilę wytchnienia liczę tylko ze względów prozatorskich, na prośbę słów zagonionych za krawędź arkusza, zajmowanego, w czasie biegu, przez ich wielkoformatowe tryby wykrzyknikowe. W reakcji na akcję, pozwolę im ustawić się wolnym tempem, niech rozlewają się korytami meandrów myśli i odczuć, rozpulchniają grunt pod opis tego, co ma być powiedziane z siebie – więc zanim wyciągniecie mnie stąd i poprowadzicie przed oblicze grupowej sprawiedliwości, zdążę spisać jeszcze kilka linijek.

Oddech prawie się uregulował, ilość wydzielanego potu – w normie.

Jak łatwo się domyślić, na zajęciach WF-u nie szło mi najlepiej. Kondycję mojego organizmu oceniano stopniem „niedostatecznej”, przy czym niezmiennie zalecano „codzienną praktykę ćwiczeń ogólnie wydolnościowych, implementowaną w środowisku przydomowym, np. w postaci spacerów w okolicy pobliskie (<2 km), wykonywanych w technice SKIP A, dopełnianej naprzemiennymi wymachami ramion w górę i w przód”. Zalecenia starałam się sumiennie wypełniać, a ponieważ okolice pobliskie nudziły mnie, zwykłam wypuszczać się znacznie dalej. Ciało jednak zawsze mnie zdradzało – ścieżka w każdy zakątek nieskończenie przemierzanego uniwersum, miała dla niego długość stałą, równą długości małego pokoju, w mieszkaniu przy ulicy Rajskiej 7.

I tam, pod pierzyną aksamitnej ciemności powiek, podróżować było mi najwygodniej. Do tej kryjówki docierały tylko wyobrażenia doświadczeń, ich kształty i opisy, które znalazłszy się w tej przestrzeni, pozwalały się

dowolnie deformować i ugiąć. Dał się tu odnaleźć każdy kolorowy liść podniesiony minionej jesieni, zostawiony w autobusie kapelusz, niebiesko-żółta czapeczka z daszkiem, w której jadę na swoje 6. urodziny. W to miejsce wybierałam się na wakacje. Gdy wyrwał mnie stamtąd szkolny obowiązek, odnajdywałam je w Parku Pustelnikowa, pod faciatą korą wierzby o łodygach wyrastających wprost z turkusowej toni, przedłużających zasięg beztroskiego nieba i czas mojego powrotu z lekcji do domu.

I staw, i szum jest mi równy, sen śnimy ten sam. Ze snu mnie budzą natrętne muszki, mozaika ślepiów, zespół rogówek rozrzuconych po całym mieście; te straszne oczy, okropne przybory do patrzenia, liczbą samą przypawiają o paraliż obecności, od której nie można się uwolnić. Nawet tu, w cieniu, widzę je, ślizgające się po wodzie, nadlatujące zaskoczeniem, refleksem przebijające, z pod taflি przyglądają mi się – tym razem dwójką chmurnych tęczęwek.

Zamach ramienia, plusk kamyka, obraz znika.

Nie pozwolę wywlec stąd resztek swojej godności! Jeśli los jest mi już przesądzony, stawię mu czoła na własnych nogach, nie z ramienia podtrzymującego mnie, urzędowego kata. Wystawiam nos zza śmierdzącego krzaka – dziwne, nikogo nie poczułam. Migający w oddali ludzie, biegli w jednakowym kierunku i żaden z nich nie kwapił się, by zawrócić i zgnać zakładnika, chwytając za jego świeżo wyprasowany żakiet.

Ostrożnie zaczęłam kłaść pierwsze kroki w ich stronę, ciągle trzymając na końcu języka, gotowe do wypowiedzenia zdania, takie jak: „No, no! Do czasu!” oraz „Oczywiście, że zaczaili się od drugiej strony!”. Okazało się jednak, że zasadzki żadnej nie było, a jedyny prześladowający mnie obserwator, zajmował się właśnie w najlepsze, wydziobywaniem sobie muszek zza piórek. W miarę przesuwania się w dół bieżącą ulicą, strach opadał, wzmagał się za to ogólny rezonans, docierający tu echem znaną północnego wschodu. Odstłonięta przecznica, do której udało mi się doczłapać (nie udało się to natomiast miejscowej zabudowie) okazała się znakomitym punktem obserwacyjnym, o ślepiach wyfabryczonych wprost na tutejsze epicentrum.

Całe miasteczko wprawione było w regularne wibracje. Pantofle stuknęły, głosy zniżały się i wybijały, krawaty zacieśniały, drzwi otwierały i trzaskały, meloniki ustępowały i następowały na głowy, a wszystkie te ruchy zdawały się sprężyć pod niestandardowych rozmiarów wiatą pętli tramwajowej. Żywy sejsmograf odliczał czas do nadejścia katastrofy – wprawne ucho wychwycić mogło już pierwsze metaliczne dźwięki trzęsących się szyn, lub sądząc po samym tylko natężeniu tłoczących się przy skraju żółtej linii butów, oszacować czas pozostały do spotkania z żywiołem, na 10 minut.

Nigdy w życiu nie jechałam jeszcze tramwajem. Bałam się tego środka lokomocji, nie tylko dlatego, że czasem obcinał ludziom głowy, ale przede wszystkim z powodu wspólnoty,

nowego określenia, jakie otrzymywał za jego sprawą każdy wsiadający, zrzekający się na czas podróży swoich praw do indywidualnego imienia. Kto tam staje? Tramwaj staje! Kto się rusza? Tramwaj rusza; porusza załadowanym ciężarem w przód i zarzuca nim w tył przy gwałtownym hamowaniu. Jak miło móc oddać stery, zrzucić odpowiedzialność nawigacji z ramion na nadstawiającą się, przetartą bepiecznym doświadczeniem podłogę! Stęchły zapach odleżałej wieczności pociąga, starość zbutwiały desek nie odstrasza, kiedy zgrzyta pod stopami, odbijającymi się od niej miękkim skokiem, z charakterystyczną tylko niecierpliwą tęsknocie radością. Zgnilizna działa prędko, rozkłada do pierwotności każdą cząstkę formy, która nią odetchnie. Spokój, który przynosi, jest pewnością bujających fal, bielejących nad niezmiernym lazurem czystego, szumiącego bryzą błękitu, które swoją nieśmiertelność okupiły całkowitym zatopieniem się w jego odmętach. Ten spokój wlewa się i przelewa wyżłobionym stalowym korytem, pomiędzy nasypami, kolejne zmiany godzinowe żeglują tą samą drogą.

Rozgwar przywitał mnie tymczasem na betonowym podeście, skąd wyraźnie rysowały się już czarne cyfry rozkładu jazdy.

- No, no, wreszcie wychodzimy na ludzi!

- Pierwszy tydzień i tak tylko szkolenia!

- 8 godzin odhaczysz i do domku!

Krąg życzliwości zacieśniał się, stado garnęło nowego członka.

5 minut do odjazdu.

Na tle krzepiących żarcików, dodających otuchy zapewnień i wesołych poklepywań, rozgrywał się największy dramat, dramat pojedynczej ludzkiej egzystencji. A cała ta ciotczyna dobroćliwość zdawała się kpić sobie z niego, jak ze staroświeckiego przesądu, którego ciężar gatunkowy równał się co najwyżej trzem kilogramom – bo tyle właśnie ważył zestaw składający się z komputera, garnituru i pudełka drugiego śniadania do samodzielnego odgrzania.

Czy muszę tu zostać? Nikt nie wiezi, nie krępuje, nikt nie woła, a jednak... Jeszcze 3 minuty, mogą zmienić zdanie, pochwycić, z resztą jak nie dziś to jutro, obejrzą się za mną na pewno.

Mijam twarze, omijam te twarze, które mijają,

przemijają i przeminają zanim zdążą się sobie przyrzec. Chcę mieć rzeczy zanim miną! Proszę, nie pozwólcie im skończyć się, zwinąć, spakować zanim wpadnę, póki nie wrócę, niech zaczekają do wieczora, do niedzieli, w piątki kończę szybko!

Czoło pojazdu wychyliło się już zza wzdórza. Żeby zdążyć należałoby podbiec.

Tup-tup tup-tup tup-tup. Przed oczyma raz prawy, raz lewy, na zmianę. Pospiesznie, lecz w konsekwentnym rytmie, opanowują sobą całe wąskie pole widzenia. Wciąż neonowe na pospolitym tle – seledynowe bućki są małe i tak jaskrawe, że nie pozwalają dostrzec niczego poza sobą. Wołając mnie swoją barwą, zabierają mój wzrok ze sobą. Co mi zostaje! Spieszę za nimi i za swoimi oczami. Wydaje się, jakby prowadziły mnie okolicą, która już poznałam, ale nie mogę tego sprawdzić. Nie mogę się rozejrzeć, moje spojrzenie jest uwięzione w aurze ich blasku. Jak one jasno świecą! A są w tym olśniewaniu takie pewne i zdecydowane, takie niezachwiane! Co może być godniejszym zaufania od takiej pewności! Wierzę im i idę za nimi.

● Lubomira Przybylska

Rowery złodziei

Pewnego zwyczajnego poranka na holenderskiej wsi, z powodu awarii roweru, rozpoczęła się piękna katastrofa.

Poprzedniego wieczora wracałem z marketu objuczony sprawunkami i, wchodząc w ostry zakręt z ulicy na kładkę, straciłem panowanie nad Peugeotem. Wpadłem do kanału. Ja i zakupiony ocaleliśmy, rower ulubiony zatonął. Trwa tam pewnie po dziś dzień, pograżony w odmętach.

Rano do pracy próbowałem dojechać innym farratem, ale jakaś w nim usterka sprawiała, że prowadziło się go za ciężko. Zbyt wolno. Oporne. Ale była sobota. Nie musiałem jechać na Plante.

Zawróciłem więc z drogi i w „budzie” skazany byłem na towarzystwo kolegi rozleniwionego, który zjawił się u nas niedawno. Od początku nie ukrywał swej profesji. Jej charakter można określić jako zdobywczo-handlowy. Kradł i to, co ukradł, sprzedawał. Tyle. Preferował towary ekskluzywne. Ciekawy człowiek. Charakter ciekawy. Był oboczny jakis. Nietykany. Nigdy się nie spieszył, przez innych szanowany i adorowany. Pogardzał „robotami”, dorobkiewiczami, którzy przyjechali tu zdobyć szmal na wesele synalka czy tapetowanie kuchni.

W trakcie krótkiej rozmowy w „budzie” zaproponował mi wycieczkę do Rotterdamu. Wszedłem w te znaczk.

Golfa otworzył bez kluczyka i odpalił na krótko. Wielkie mi mecyje – myślałem. – Przecież wiem, z kim jadę, muszę godzić się na jego niekonwencjonalne metody. Dzień wstawał słoneczny. Wycieczka zapowiadała się obiecująco.

Jechałem w celach poznawczych, więc każde, nawet z pozoru najbardziej błahе nowe doświadczenie, miałem zamiar zaliczać in plus. Każdą ciekawą obserwację pieczołowicie magazynowałem. Miałem stać się spontanicznym uczestnikiem i czujnym obserwatorem zdarzeń. Poza tym chciałem zostać jeszcze trochę samym sobą. Tak sobie samotrzeć jechałem.

Najpierw wzięto sobie buty. Pozazdrościłem. Wyniósł sobie kurtkę. Pozazdrościłem i coś mnie korciło zaczęło. Przemierzaliśmy wielki pasaż handlowy, a on na moich oczach bogacił się materialnie. Wyszedł w marynarce. Pozazdrościłem i zdecydowałem. W jednym sklepie zobaczyłem sweterek, który urzekł mnie natychmiast, a chęć posiadania sweterka ośwładnęła mnie. On odradzał, mówił, że za ekskluzywnie tu, ale ja nie słuchałem. Jako szczęśliwy posiadacz pulowerka w serek opuszczałem sklepik. W drzwiach postawny Irlandczyk z ochrony, detektyw taki, zapytał, czy może sobie zajrzeć do mojego plecaczka.

Plecak oddałem, ale sam zacząłem biec. On za mną. I tak sobie biegliśmy wśród tłumów pasażem monumentalnym. Ochraniał był nawet szybki, wytrzymały, owszem, ale zbyt krępy był, by sprawnie manewrować w tłumie; po każdym moim co wymyślniejszym

zwodzie tracił równowagę, padał, szybko podnosił się pokiereszowany i pędził dalej, nie zdradzając oznak zmęczenia. Skręciłem nagle, tym razem w małą, wąską uliczkę. On sobie upadł.

Żebyśmy biegli odrobinę wolniej, gdybym miał odrobinę więcej czasu, by pomyśleć, zebrać myśli, może i bym to nawet mógł sobie wyobrazić. Jednak zostałem przez ten widok porażony. Takiego obrotu sprawy nie mogłem się spodziewać. Paręnaście metrów przede mną zmaterializował się przeczudnej urody patrol konny i zbliżał się. Zamarłem i delektowałem się widokiem. Dumnne kroczące ruma-ki, a na nich wytwórni policjanci. Jaka klasa!

I w tym momencie, na tej ślicznej uliczce, może za sprawą tego fascynującego widoku, może już ze zmęczenia, nastąpił przełom. Nastąpiła jakaś ogólniejsza kulminacja. On leżał, koniki stanęły jak wryte, ja trwałem oczarowany, doznałem olśnienia. Dokonało się. Postanowiłem zrezygnować. Ze wszystkiego. Obraz konnej policji uświadomił mi, iż zagalopowałem się w tej mojej holenderskiej przygodzie. Zapragnąłem nagle wrócić do domu. Do Ojca. Dość tego. Za dużo.

Stałem tak i czekałem, aż Irlandczyk nadgoni zakrwawiony. Spodziewałem się fizycznego, bolesnego odwetu. A on mnie tylko spokojnie przekazał jeźdźcom. Kultura i cywilizacja Zachodu...

Na komisariacie komfort. Oczekiwałem na jakieś przesłuchanie. Pozostawiony w jednoosobowym boksie, którego oszklone drzwi

wychodziły na wąski, nieuczęszczany korytarz, upajałem się idealną izolacją. Nikt mi nie przeszkadzał, nic nie słyszałem, nikogo nie widziałem, w celce nic nie było interesującego poza ławką (jeśli ławka może być interesująca). Jednak stres narastający. Jak to znieść. Zacząłem się onanizować. Zawsze to przyjemniejsze, niż siedzieć beczynnie i czekać. I odprężające. Ale potem znowu proza. Zacząłem chodzić. Kiedy zbliżyłem się do szyby, zobaczyłem dwa małe wiszące na ścianie obiekty. W celi nie, ale na korytarzu, pod odpowiednim kątem, tkwiły pod sufitem kamery o szerokokątnych obiektywach i rejestrowały sumiennie. Skojarzyłem śmiechy, które dochodziły z oddali podczas mojej sesji relaksacyjnej. Późnym popołudniem kolejna przejażdżka po mieście.

W świetle wieczoru budynek aresztu wydał mi się wspaniałym osiągnięciem współczesnej architektury, więc perspektywa zwiedzenia jego wnętrza napawała mnie radością.

Komfort znowu. Pojedyncza celda, smaczna kolacja. Spokojny sen na wygodnym materacu. Podczas śniadania myślałem z wdzięcznością o królowej holenderskiej, która jakoby wszystkim obcokrajowcom, co to nie są całkiem fair, funduje podróże lotnicze. I, jak słyszałem, załatwia taką gratkę od ręki, bez opóźnień, czas oczekiwania maksymalnie skrócony. Szczerze się radowałem na mą pierwszą podróż samolotem. Cały dzień spędziłem wygodnie leżąc i antycypując podziw, jaki wzbudzę wśród znajomych, dzięki podniebnym wojażom.

Jednak moja sytuacja wyglądała jakoś tak specyficznie, że coś przydługą zwlekano z wyprowadzeniem mnie do kraju. Trzeciego dnia znudził mnie już ten nieustanny entuzjazm, mój mózg wytworzył dotąd taką liczbę wspaniałych obrazów związanych z podróżą i powrotem, że przeciążony domagał się odpoczynku. Na sen mi nocy nie wystarczało, więc postanowiłem senne marzenia kontynuować w ciągu dnia. Żeby sobie to ułatwić poprosiłem o wizytę lekarza, któremu zakomunikowałem, iż cierpię na chorobę, której nazwy nie pamiętam, i że objawy jej są takie, że spać nie mogę. Dostawałem wieczorem tabletki na sen i spożywałem je koło południa, jak wstawałem. W ten sposób mogłem spać całą dobę.

Siódmego dnia postanowiłem zmienić taktykę i na jawie zająć się czymś interesującym. Książki mi się czytać zachciało normalnie. Poskarżyłem się, komu trzeba i za pół godzinki zjawił się w moim gniazdku człowiek. Dostałem książkę.

W ciągu trzech kolejnych dni mój podziw dla ogromu więziennego księgozbioru urósł bardzo. Dostawałem około trzech książek dziennie. Najróżniejsze. Sama beletrystyka. Większości języków mogłem się jedynie domyślać. Podejrzewałem tam rumuńskie piśmiennictwo, węgierska składnia niechybnie się tam objawiła, czeski i słowacki raczej rozpoznałem, podobnie hiszpański albo portugalski. Przetrzymywałem jednak tylko te po niemiecku, rosyjsku i angielsku. Otarłem się o znajomość podstaw tych języków, więc próbowałem. Ale „otarłem się” to stanowczo za dużo powiedziane. Kiedy donosili kolejne

pozycje i ja po jednym zerknięciu na obwolutę od razu z rezygnacją kręciłem głową – smutnieli. Za cel najwyższy chyba sobie postawili znalezienie polskiego słowa pisanego. Niestety, nie poczytałem.

Nadszedł dzień mojego uwolnienia i spełnienia marzeń. I już lotnisko. Eskorta jak dla vipa. Miejsce zarezerwowane koło okna. Obok wolne. Jeszcze dalej jakaś atrakcyjna kobieta, z którą załazek konwersacji dobrze wróżył na dalszy lot. Pijane towarzystwo śpiewało, było jak w osobowym do Warki. Mimo że maszyna latająca była produkcji radzieckiej i lata świetności miała już za sobą, czułem się pysznie. Widziałem przez okienko skrzydła, którymi chorobliwie telepało, jakby się miały rozpaść na części. Gdyby samolot się rozpadł – w ogóle nie zrobiłoby to na mnie wrażenia. Podejrzewam, że spadłbym do jakiejś wody, z której wyłowiłby mnie śmigłowiec gaszący jakiś pobliski pożar...

Ale doleciałem. Z honorami na Okęciu. Dojechałem pociągiem do Kielc. Z dworca, po nocy dodreptałem do domu. Wszedłem po schodach klatki. Stałem przed drzwiami. Zapukałem.

Stłumiony głos ojca komunikował, że zaraz, że jest w łazience. Okazało się, iż za sprawą cynku z Holandii, od kilku dni ojciec toczy zaciekły bój. Walecznie potyka się z przewlektą sraczką. Przedpokój osiągnąłem dzięki chwilowemu zawieszeniu broni.

Ja i cywilizacja Zachodu. A w kraju fekelia.

● Wojtek Dziewit

polska b

był sad. rozrósł się jak apokryf, poza marginesem. księga to tynki gospodarstw. więc szósta rano. pociąg z miasta a do miasta b nie jechał.

zostałem sam przed budynkiem stacji. zostałem sam choć pociągi nie odchodzą. na spleśniałej kłóci peronów czas włókł się jak zwierzę umaszczony płamami cerkwi, chat, dzieci o czerwono - czereśniowych twarzach. przy przetartej drodze żużel przypominał szlaczek w zeszycie. pamiętał przeprawy

po marcowych błotach (ich daremność). koleiny układały się w szereg pnie drzew też. nic nie krwawi jak blizny zadawane skalpelem bieźnika.

krajobraz ze środkiem w metalowym szyldzie. dla niego odjazd to powrót. zrywanie jabłek z jabłonią.

● Kacper Plusa



Staszka

Staszce

*Szkoda, że nikt nie chce słuchać opowieści starców.
To jakby nie jeść jabłek, bo zdarzają się robaczynwe.*

Julia Hartwig

Staszko, jedz. Gołąbkę płowy, grzywko rozwiana. Jedz!

Zaczęło się od zgaszonego telewizora. Staszka, jak każda babcia, była specjalistką od popołudniowych ramówek serialowych. Dwie Basie, Grażynka, trzech Henryków, Manuela, księża, listonosze, aptekarze i królowie potencji ogrodnicy. Ridże, Isaury, setki innych. Akcja na trzech kontynentach i pięciu kanałach. Trzynastcie odcinków dziennie, w tym cztery powtórki. Gabinet osobliwości, w którym telefon można odebrać w przyszłym tygodniu, a pięćdziesięcioletnie mamuski wyglądają lepiej od moich trzydziestoletnich koleżanek. Pamięć zawsze miała znakomitą i w dowolnym momencie rozwijała nam tę skomplikowaną serialową sieć, odtwarzając wątek Ridża lub innego Henryka przez wiele odcinków wstecz. Nigdy nie należała do osób zbyt rozmownych. W dobrym tonie było jednak przynajmniej raz dziennie poprosić o rozsąptanie któregoś z tych pajęczych nitek. Dlaczego Isaura spotyka się teraz z tym ogrodnikiem? – Jedno pytanie załatwiałoby kwestie dialogu na cały dzień.

Przyszedł w końcu dzień, kiedy los kogokolwiek z tego rozległego serialowego uniwersum przestał Staszke interesować. Zgasła telewizor oraz górne światło, zasunęła zasłony i usiadła na krześle. Kulejąca kotka, wierna towarzysza Staszki, zdechła kilka miesięcy wcześniej. Staszka siedziała więc sama. Domownicy odwiedzali ją w wymiarze, na który pozwalały im codzienne obowiązki. A Staszka gościła z dnia na dzień.

Trzeciego dnia od wyłączenia telewizora przestała jeść.

Staszka zawsze była niezatapialna i mało rzeczy robiło na niej wrażenie. Któregoś dnia dostarczyłem dowodu, że siekiera w mojej ręce nie jest najważniejszym narzędziem. Wybiegłem z piwnicy, sikając krwią po całym korytarzu, a Staszka po prostu wzięła ściereczkę. Typową ściereczkę kuchenną, pamiętającą jeszcze pewnie poprzedni ustrój, która jest w każdej babcinej kuchni. Mała, szara i śmierdząca ściereczka była orężem Staszki w walce z czerwonym szlakiem, którym znać myślałem swoje chaotyczne w przypiływie adrenaliny ruchy. Ja dzwoniłem po ojca i uspokajałem łkającą w spazmach mamę – zachowując trzeźwość umysłu godną najwyższych standardów Staszki. Ona zaś metodycznie podążała za mną zgięta w pałąk i szorowała czarno – białą szachownicę kafelków. Jak od razu nie zetrę, to zaschnie – pragmatyzm nie odstępował Staszki w żadnej sytuacji.

Staszko, ani trochę mnie wtedy nie żałowałaś – wzięłam ją kiedyś pod włos. – Jakbyś się walnął w nogę, to co innego – odpowiedziała, nie odrywając wzroku od serialu. – Bo jakbyś się walnął w nogę – kontynuowała – to nie mógłbyś chodzić, a z pozszywaną ręką to możesz. – Dla Staszki, kobiety czynu, mobilność była kluczem. Kiedyś dotarło do mnie, że kiedy zastęgała w niezmiennym pozie, podążając śladami losów serialowych bohaterów, przy okazji gromadziła i pielęgnowała w sobie resztki ruchu, tak potrzebnego, aby sprostać codziennym czynnościom.

Do kościoła – tak ważnego dla większości niewiast w pewnym wieku – nie chodziła sama od dawna. Kwestię rozwiązywał Pan Kazio Za Dychę, który czekał na Staszke w swojej taksówce co niedzielę o dziewiątej trzydzieści pod domem. Zięć Staszki – mój ojciec, nie poczuwał się za bardzo, więc Pan Kazio Za Dychę miał zlecenie stałe. Po mszy,

w ciepłe, letnie dni, kiedy stare kości czuły się trochę lepiej, Staszka zwalniała z posterunku Pana Kazia Za Dychę i prosiła, żeby wrócić na piechotę. Dawałem więc Staszce ramię i pomalutku szliśmy, robiąc co kilkadziesiąt metrów dłuższe przystanki. Droga do kościoła zajmowała mi zwykle około piętnastu minut. Ze Staszka to było zawsze ponad godzinę. Godzina w milczeniu, które przerywało grzecznościowe Dzień Dobry. Kilkadziesiątkrotnie. Staszka przez czterdzieści lat była w naszym mieście lekarzem. Przyjmowała w czasach, kiedy, gdy ktoś nie miał pieniędzy, przynosił rybę wędzoną lub wytłoczkę jajek. Albo nic nie przynosił. Nigdy nikomu nie odmówiła. I wbrew przekonaniu głąbów stojących w kapturach pod sklepami i klatkami schodowymi – to ona miała prawdziwy szacunek ludzi ulicy. Kłaniali się jej w pas.

Kumy wymierały systematycznie. Pani Jaworowa, Dzieciołowa, Baczewska. Tę ostatnią znałem najlepiej, bo pojawiała się u nas w domu, odkąd pamiętam. Była sprzątaczką w ośrodku zdrowia i ze Staszka łączyły ją specyficzne relacje. Przychodziła na zupeł, milczały sobie, razem gapiąc się na seriale, czasem za pięć dych umyła szafki w kuchni. Sylwetka Baczewskiej, jej słowa i ruchy był emanacją największego szacunku do Staszki. Nigdy nie usłyszałem, by zwróciła się do niej inaczej jak „Pani Doktor”. Jako Pani Doktor Staszka była dla Baczewskiej największym autorytetem w sprawach wszelkich.

W czasach, kiedy na cyferblacie telefonu wystarczyło wykręcić trzy cyfry, aby dodzwonić się w wybrane miejsce, do Baczewskiej miał zadzwonić bratanek. Ze Stanów! Biedną jak mysz kościelna i głuchą jak pień Baczewską spotkało takie szczęście. Baczewska naturalnie nie znała angielskiego, Staszka też nie, ale ktoś miał pocziwają Baczewską nauczyć. Bacziesiu, powtórz – Gut Mornink, Gut Mornink – niosło się po całym domu. Obie panie, trzymając małe nożyki w rękach i pochylając się nad wielkim koszem jabłek, w skupieniu powtarzały swoją mantrę – Gut Mornink. Gut Mornink.

Pokrzywiona sylwetka Baczewskiej w odświętnym, czarnym stroju zbliżająca się do naszej furtki, była dla sąsiadów znakiem, że coś jest na rzeczy. Oprócz zwyczajnych okoliczności Baczewska pojawiała się u nas z okazji chrzcin, pogrzebów i okrągłych rocznic. Nosiła zupeł, wymieniała sztuce i nie bardzo dawała się uprosić, by usiąść ze wszystkimi przy stole. Kiedy nie miała już nic do roboty, najlepiej czuła się w kuchni, zmywając lub siedząc na małym zydelku. Tak też było po pogrzebie Staszki – męża Staszki, a mojego dziadka. Smutek Staszki, która nie zwykła okazywać emocji, był dla Baczewskiej nie do wytrzymania. Przez całe popołudnie siedziała w kuchni, szorując po kilkakroć wszystkie naczynia. Łzy Baczewskiej, proste i szczere, kapwały do zlewu.

Staszek, mąż Staszki, był straszną cholerą. Z nim jednak wiązało się TO wspomnienie. Była tylko jedna rzecz, która rozświetlała oblicze Staszki i wlewała nań prawdziwą radość. Dwutygodniowe wczasy w Bułgarii. Jedyne wczasy w całym spracowanym życiu. Kiedy byliśmy w Bułgarii – tymi słowami zaczynała się każda jasna opowieść Staszki. Jeśli już od wielkiego dzwonu zdecydowała się opowiadać, Bułgaria musiała się pojawić. Całej feerii pozytywnych spraw związanych z tą wyprawą nie zaburzał fakt, że w owym czasie, na owych wczasach Staszek podejrzanie często zniknął gdzieś z miejscową kelnerką.

Nadszedł więc ten dzień, kiedy zmarły wszystkie Kumy i zdechły wszystkie koty, a Staszka z trudem poruszała się już o dwóch laskach. Kiedy więc opowiedziała już wszystkim po stokroć historię wczasów w Bułgarii, zasunęła zasłony i wyłączyła telewizor.

Przed Sanatorium – bo tak mówiono na oddział psychogeriatryczny – był Bałagan. Oddział zbiorczy dla łżejszych przypadków swoją nazwę zawdzięczał chaosowi, który występował tam pod każdą postacią.

Depresje, psychozy i nie rokujący skuteczności niedoszli samobójcy. Cyganki gadające bardziej od rzeczy niż te spotykane na rynkach miast, fruwające kredki i obsikane buty. Pacjentów i gości. Przez pewien czas matka natura wyprawiała ze Staszka wszystko co chciała i powoli zaczynaliśmy się bać, że nasza Staszka zostanie wśród tych musztardowych ścian Bałaganu na długo.

Symbolem przełomu okazała się parówka cielőca. Kiedy Staszka zjadła „aż trzy”, wiedzieliśmy, że idzie ku dobremu. To ty mnie uratowałaś – stwierdziła kilka dni później, siedząc na szpitalnym łóżku i mając wesoło nogami. W całym strumieniu słów, które sączyliśmy do coraz bardziej zamykającej się na bodźce głowy Staszki, wrażenie na niej zrobiła tylko jedna moja tyrada. – Staszko, trzeba jeść, sama kiedyś mówiłaś. Jak jest obiad, ni ma chuja, trzeba jeść. – Tylko tyle i aż tyle. Do osadzonej w konkretach Staszki nie przemawiała żadna wielopoziomowa, barokowa argumentacja. – Jak jest obiad, ni ma chuja, trzeba jeść. – To dopiero podziało i Staszka ruszyła. Ale wtedy to już jak odkurzac: coca cola, jogurciki, kaszaneczka, śliwki, soczki i babeczki z Żoliborza. Naturalnie oprócz tamtejszego wyszynku.

Oddziały psychogeriatryczne mają swoją poetykę. Babcie sobie kremy zabierają, laskami się po głowach naparzają, kapcie gubią. Jak przyjedzie gość, opowiadania jest na tydzień. Babeczki z Żoliborza – hit na oddziale tamtego lata – rozchodziły się zawsze bardzo szybko. Trochę wolniej rozchodziły się babeczki oddziałowe. Bo o laskach. Jeśli akurat laska nie służyła do naparzania po głowie innej babeczki.

Niedługo Staszka nabrała sił i została hersztem bandy. Załatwiała kaszę gryczaną na obiad, negocjowała pory spaceru i wydłużała godziny oglądania telewizji. Do pokoju nr 5, w którym mieszkała, ciągnęły pielgrzymki pacjentów. Poważna i skupiona, niczym wikiński jarl, rozsądzała spory. – Jutro odasz mu ziemniaka. Wystarczy ci już telewizji. Nie podbieraj więcej chustek

do nosa. – Od decyzji nie było odwołania. Staszka locuta causa finita. Kiedy urzędowała, zawsze godzinę przed obiadem, na nocną koszulę narzucała błękitny szal. Usta malowała szminką, kolor – babciny róż.

Lato się kończyło i Staszka wracała do siebie. Próbowaliśmy nas przekonać, że woli zostać na oddziale na stałe. Przecież dobry herszt nie opuszcza swojej bandy.

No ale przede wszystkim był on. Pan Tomek, sanitariusz. Miał zapadniętą klatkę, filmowy uśmiech i meleksa. Pojazd służył do transportu państwa starszych między oddziałami na wielkim obszarze szpitala psychiatrycznego. Na wdzięki Pana Tomka podatne były szczególnie damy, a zapowiedź pozaregulaminowej przejażdżki była w arsenale jego perswazji najmocniejszą bronią. Rundka po parku w samochodzie bez dachu z pięknym niczym Ridz sanitariuszem była dla wszystkich niewiast niczym krótkie zanurzenie w odległy świat seriali, któremu co wieczór – wcześniej w domu, a teraz na oddziale – oddawały hołd.

Tego dnia wszystko było gotowe. Program telewizyjny i żoliborskie babeczki na stole, pokój wypucowany, kwiatki podlane. Kiedy już usiadła w fotelu, zebraliśmy się wszyscy wokół i nasłuchiwaliliśmy w skupieniu.

Każdy spodziewał się jakiegoś hołdu oddanego codzienności, którą tak bardzo Staszka ceniła. – Podaj pilota. Popraw obrus. Odsłoń bardziej zasłony. – Znając Staszka, któreś z tego typu zdań powinno się pojawić i przypieczętować ostatecznie powrót do normalności.

Nagle twarz Staszki rozpromieniała. Z fikuśnymi lokami i w białym swetrze wyglądała jak mały siwy aniołek. Będzie Bułgaria – pomyślałem.

A wiecie – rzekła Staszka. – Na oddziale był taki Pan Leon...

● Łukasz Żmijewski

Ptak i klatka

Ptak w klatce wie, że klatka jest
w ptaku.

Klatka w ptaku wie, że ptak jest
w klatce.

Ptak w klatce wie, że najgorsza
jest klatka w ptaku.

To klatka stanowi problem. Zawsze

Żebro

Żyję w domu z szyb,

które z a w s z e muszą _{być} czyste.

Przez nie, zły chłopiec _{bez} żebra

przygląda _{się} i widzi moje myśli

sięgające aż do kości

● Anna Radecka

TORPEDA LUDU

Biuletyn redaguje zespół
uczestników sekcji literackiej

Redaktor prowadząca: Joanna Pachla

Współpraca: Darek Foks

Ilustracje: Piotr Depta

Projekt okładki: Piotr Depta

Opracowanie graficzne i skład: Mateusz Beźnic